

[niniejszy tekst ukazał się pierwotnie na łamach gazety wyborczej]

Pojawiła się ostatnio pewna debata o prowincjonalności Wrocławia, wywołana raportem "Wrocławska Diagnoza Społeczna" oraz tekstem Michała Kmiecika zajmującym w tej kwestii stanowisko. Z jednej strony odpowiedni raport dowodzi, że miasto nie jest prowincjonalne, bo przecież... Z drugiej strony, we wspomnianym tekście, dowodzi się, że owszem jest prowincjonalny, bo... Mnie zaś interesuje trzecia strona. Dowodzić można bowiem wszystkiego, tyle że dowieść nie. Ale na szczęście istnieje realność i ta nam w rozstrzygnięciu takich kwestii zwykle pomaga.

Zaobserwować można, analizując Wrocław, wiejskość lub, jeśli Państwo wolicie – szlacheckość wielu zachowań jego mieszkańców oraz pewną dyskrepancję między urbanistycznym charakterem tego miasta (jednego z architektonicznie ładniejszych miast w Europie), a wiejskim/szlacheckim (a nie – mieszczańskim) charakterem zachowań wielu (daleko nie wszystkich) jego mieszkańców. Przy czym nie mówię tutaj o Disneylandzie, czyli o obszarze rynku; każde miasto ma taki Disneyland, służący do przyciągania turystów, gwarantujący miejsca pracy itp., lecz mówię o mieście jako urbanistycznym organizmie, w którym dzieje się miasto. Przeraziłem się jednak konsekwencji takiej analizy i zaniechałem jej próby.

Zwróciłbym uwagę na rzucający się w oczy brak różnicowania między konceptem 'trawnika' a 'łąki' w przestrzeni miejskiej tego miasta. Jak wiadomo, łąka jest naturalnie powstałym obszarem niezagospodarowanym w przestrzeni wiejskiej, obszarem po którym się chodzi, jak to w naturze. Trawnik natomiast to typowy element miejski, stworzony z różnych urbanistycznych powodów, po którym jednak nie należy chodzić. I taki stan spotykamy, byłbym mówił, również w tym mieście, gdzie zielen miejska pielęgnowana jest przez stosowny Zarząd Zieleni Miejskiej w sposób przykładowy, natomiast przez mieszkańców traktowana jest nie jako trawnik, lecz jako łąka właśnie. Więc po trawnikach chodzi się jak po łąkach, odstawia na nich samochody, wyrzuca na nie to i owo, głównie śmieci. Dokładnie tak, jak ma to miejsce na łące przed/za domem na wsi.

Szczególną uwagę zwróciłbym na obecny w tym mieście zwyczaj wyrzucania resztek jedzenia przez okna na chodniki lub trawniki przed domem. To oczywiście typowe zachowanie wiejskie/szlacheckie, które w przestrzeni wiejskiej jest głęboko sensowne, gdyż na zewnątrz znajdują się stosowne zwierzęta, i wyrzucane jedzenie natychmiast jest utylizowane i recyklingowane przez owe zwierzęta właśnie. Inaczej w mieście, gdzie jedzenie to leży następnie pod oknami budynków i podlegając naturalnym procesom gnilnym, stanowi zagrożenie dla zdrowia.

Jako kolejny ciekawy syndrom przytoczyłbym sposób stosowania perfum przez część mieszkańców (obydwójga płci). Nie chodzi tu o samo stosowanie perfum, lecz o ilość wylewanych na siebie, którą określić byłbym mógł tylko jako znaczną. Nawaniane są całe ulice; nawet 20 metrów za jakąś osobą nawonioną woń jej czujemy nawet wtedy jeszcze, kiedy osoby tej wizualnie już nie postrzegamy.

Zwróciłbym również uwagę na umiłowanie mieszkańców tego miasta dla wydeptanych przez nich samych ścieżek. Zielen Miejska lub Zarząd Dróg zadają sobie trud wykładania chodników płytami lub wylewania ich asfaltem, mieszkańcom to jednak w najwyższym stopniu przeszkadza i wydeptują sobie, nierzadko obok, swoje ścieżki, posiadające tę zaletę, że wyłożone niczym nie są. Przez co mogą sobie chodzić jak po matce ziemi.

To samo dotyczy parkowania samochodów na trawnikach właśnie, gdyż sam fakt takiego parkowania po jakimś czasie daje zanikanie trawy i wytycza, jakby naturalne, ścieżki dla chodzenia po ziemi.

Wspomniałbym także o sposobie oświetlania ulic. O ile na wsiach latarnie służą do oświetlania ulicy. O tyle w miastach obok oświetlania ulic chodzi o stworzenie przy pomocy światła odpowiedniego klimatu ulicy, placu itp., by użytkownicy miasta dobrze się czuli a miejskie życie nocne kwitnęło. W tym mieście natomiast oszczędza się na oświetleniu ulic (co świetnie zwiększa kryminogenność nierzadko całych dzielnic). Ojcowie miasta słyszeli gdzieś, że oszczędzanie energii elektrycznej jest wskazane, jednakowoż nie słyszeli, że ilość światła na ulicach jest odwrotnie proporcjonalna do ilości przestępstw w miastach. Coś zatem, co na wsi ma sens, w mieście niekoniecznie go ma lub ma inny. Można by oczywiście zapytać, co to ma wspólnego z mieszkańcami, skoro to decyzje ojców miasta, to przecież tylko oni są pewnie ze wsi. Niewykluczone. Sęk jednak w tym, że ci ojcowie w wyborach zostali wybrani przez owych mieszkańców. I nie chodzi tutaj o to, czy to dobrze czy źle, lecz o kreolizację paradygmatów organizacji przestrzeni, którą można stwierdzić i nad nią się zadumać.

Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja, gdybym to wszystko był powiedział, nie denuncjuję. Ja to tylko widzę. Natomiast ciekawe w tym wszystkim byłoby i jest pytanie: dlaczego mieszkańcy tego miasta by się obrazili, skoro ja bym tylko relacjonował fakty. Nie wartościowałbym przecież, tylko opisywał. Skąd zatem obrażanie się. A tak już na koniec – ja to miasto lubię. Powiedziałbym.

Zasadnicze pytanie jednak brzmi – dlaczego tak jest? Na szczęście udało mi się dotrzeć do znakomitych badań wrocławskich socjologów z lat 1970 na temat struktury społecznej Wrocławia. I teraz już wiem – dlaczego.